XIII. [i.e. XIV] Kraków. 1 czerwca 1911. Nr. 11.

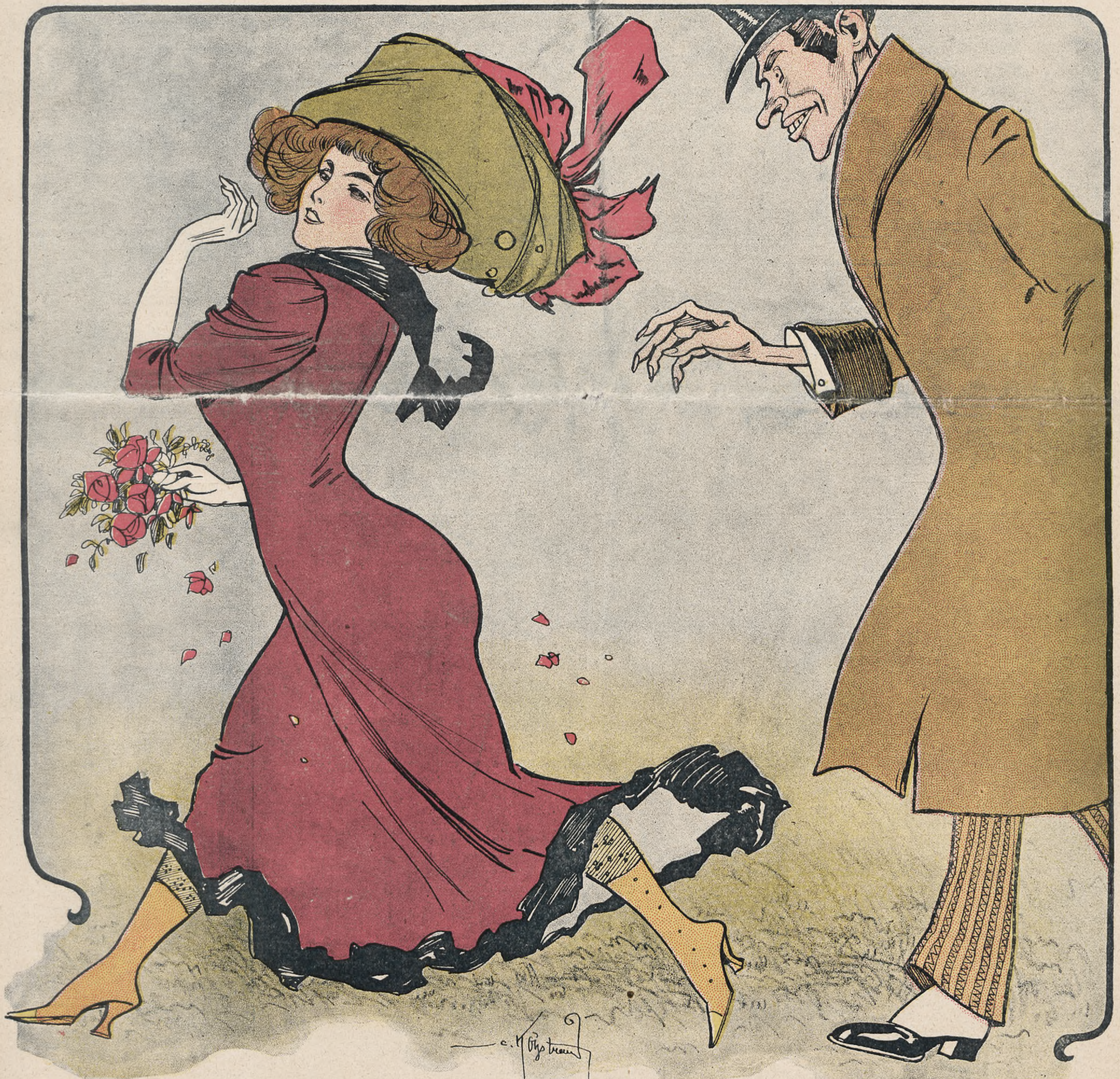


„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przesyłką pocztową 2 korony, 2 marki 25 fen., 1 rbs. 25 kop.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV. ul. Nowowiejska 83 (Dom własny), Telefon Nr. 479.
W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem:
Biuro G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.



Stary facet, pół tabetyk,
Lecz mający dobre chęci,
Wyszedł sobie na spacerek,
Choć mu ischias w kościach kręci.

A gdy ujrzał młodę dziewczę,
Zaraz ściga ję zdaleka,
Lecz na jego miły widok
Jak spłoszona gęś ucieka.

— Pozwól mała! — woła za nią —
Pozwól towarzyszyć sobię!...
Nię obawiaj się niczego,
Ja ci złego nic nię zrobię!...

Na to cierpką ma odpowiedź
Za otwartość głupią swoją —
Żę dziewczęta takich panów
Właśnię się najbardziej boją!...

Cudzoziemskie imiona.

Siedzą w karczmie przy niedzieli
Jaśnie hrabi wierne sługi,
Ile kubków już wypili
Wie Bóg jeden, a żyd drugi.

I na ucho gwarzą sobie
Co we dworze pan porabia.
Ilu chłopów zbił po gębie,
Ile dziewek zepsuł hrabia.

— Jaśnie pan — rzekł pan leśniczy
Nalewając kubek świeży —
Ma *newralgię*, jak słyszałem,
Przez nią ciągiem w łóżku leży.

— Mościewy! — woła pisarz —
Taki grzesznik, chociaż stary!
Że też to się z przeproszeniem
Nie obawia Boskiej kary!...

— Ciewy! — krzyknie Jan karbowy
I ze zgrozy skrzywił lice —
Mało mu to naszych dziewek
Aż sprowadził francuzicę!...

Z życia.

— No i jakże tam wiedzie ci się moja Basiu w świętym stanie małżeńskim?

— Źle! Zupełnie źle!... Od dwu tygodni nie mówimy z mężem ani słowa!

— Bój się Boga! Jakże można! Wszak nie upłynął jeszcze miesiąc od waszego ślubu! Cóż będzie później?!...

— Tak! Tak!... Taka to już moja dola nieszczęśliwa...

— No, a jakże załatwiacie te małe... potrzeby serca, bez których nie obejdą się przecież miodowe miesiące?

— Także w zupełnem milczeniu!

Zmartwienie pokojówki.

— Och! Ja nieszczęśliwa!... Rozbiłam ten kosztowny wazon i nie mogę się nawet tłumaczyć, że broniłam się, gdy mnie pan lub panicz chciał pocałować, bo nikogo niema w pokoju!...

Zmysł oryentacyjny.

W myśl obowiązującej instrukcyi wybrał się profesor geografii jednego z krakowskich gimnazyów ze swymi uczniami na wycieczkę geograficzną. Gdy już byli poza miastem, zapytał nagle jednego z uczniów:

— W jakim, kierunku się posuwamy?

— W kierunku południa! — odparł zagadnięty.

— A po czem to poznałeś?..

— Bo mi coraz cieplej, proszę pana psora!...

Poczciwa pani.

— Dlaczegóż Kasia ciągle tylko płacze i płacze?

— Bo mi bardzo tęskno, proszę pani! Ten czeladnik od malarza, który malował przed Wielkanocą naszą kuchnię, opowiadał mi tyle o miłości, zaklinał się, że mnie kocha, a teraz nie widzę go już od dwu miesięcy...

— No, uspokój się, moja kochana! Jeśli będziesz się dobrze sprawować, to przed Zielonemi świętami każę znowu pomalować salon!...





Przykra perspektywa.

W prowincyonalnym teatrze nudzi się publiczność w międzyaktach, które są nadmiernie długie... Pierwszy trwał prawie pół godziny, drugi jeszcze dłużej i niema nawet nadziei, aby kurtyna się podniosła.

Pan Kleofas zagląda wreszcie do programu i widzi czarne na białem następującą uwagę: Między drugim a trzecim aktem upływa rok...

— O psiakrew!... Żebym był wiedział, nie byłbym tu przyszedł... zdaje mi się bowiem, że dyrekcya bierze na seryo to, co kazała wydrukować!...

Ks. Dąbrowskiemu.

Za ruble podpisałeś testament fałszywy,
Zdradziłeś swoją suknię, dla ładnych sukienek,
Wyszło bowiem z procesu, żeś brał udział żywy
W etycznej edukacyi wesołych panienek.
Fałszerz, rozpustnik, pijak, łajdak, jakich mało,
Tam siedzisz, gdzie ci dawno siedzieć należało.

Podsłuchane.

— Jak się masz, Kohn?

— Źle ze mną, od dwu tygodni jestem słaby.

— Pewnie *influenza?*

— A dyabeł tam wie, jak się ta małpa nazywała! Nie pytałem się jej o nazwisko...

Mecenas sztuki.

— Czy mógłbym prosić profesora o wymalowanie obrazu, przedstawiającego Magdalenę?

— I owszem! Żąda pan przed upadkiem, czy po upadku?

— Wolałbym w czasie upadku... To będzie bardziej interesujące!...

ZEMSTA SŁUŻĄCEGO.

Humoreska.

Jan, woźny jednej w krakowskich instytucyi finansowych, był w każdym calu prawdziwym gentlemanem. Gdyby nie czapka z galonami i inicyały bankowe na kołnierzu jego surduta, nikt by nawet nie przypuścił, że to służący, ale co najmniej oficer kawaleryi lub koncepista c. k. namiestnictwa...

Przystojny był i dobrze zbudowany, ubierał się według pierwszej mody, dla dam był nad wyraz ugrzeczniony, nic też dziwnego, że w kołach znajomych cieszył się ogromną wziętością i sympatyą, a wszystkie szwaczki, pokojówki i sklepówki nieraz w swych dziewiczych snach widziały go przy swym boku...

Słowem, był Jan ideałem pewnej części krakowskiej płci pięknej, nie kwapił się jednak jakoś do ołtarza, widocznie zasmakowała mu wolność kawalerska, choć znów stara Maciejowa, właścicielka korzennego sklepiku, mieszczącego się w tym samym domu, w którym pan Jan mieszkał, znająca najtajniejsze sprawy swych sąsiadów, wogóle nawet całej ulicy, utrzymywała z przekonywującym uporem, że miał się ku pani Barbarze, żonie dyurnisty w tej samej instytucyi, w której on pełnił funkcye woźnego...

Jedni w to uwierzyli, inni, z powątpiewaniem kiwali głowami. Wiadomo przecież, jak złośliwie usposobionemi są stare baby, bardziej zwykle jadowite w języku, niż niejeden wąż, choćby nawet egzotyczny.

* * *

W piękny majowy poranek, gdy część Krakowian tuliła się do pieców, aby rozgrzać swe członki skostniałe pod wpływem mrozu, jaki nam tego roku zesłali nielitościwi „Eismännerzy“, pan Jan przeglądnąwszy się w lustrze i poprawiwszy najdrobniejsze szczegóły swej toalety, opuścił mieszkanie i skierował swe kroki, lecz nie do biura, gdyż do dziewiątej brakowało jeszcze przeszło trzy kwadranse, a on lubił być punktualnym, aby, jak mawiał, dawać dobry przykład młodym urzędnikom. Pan Jan wszedł do jednej z sąsiednich kamienic, gdzie na drugiem piętrze w oficynie zamieszkiwał jeden pokoik z kuchenką przyjaciel jego serdeczny, pan Tomasz, dyurnista bankowy i mąż wspomnianej już wyżej pięknej pani Barbary.

Zapukał raz i drugi do drzwi mieszkania, niezbyt jednak głośno, aby nie narazić się na ciekawe spojrzenia sąsiadek, gdyż o tym czasie nie było zazwyczaj pana Tomasza w domu, nie chciał zaś ani siebie, ani pani Barbary narażać na złośliwe obmowy. Pukania pozostały jednak bez skutku; pan Jan odważył się wreszcie i zastukał silniej po raz trzeci.

Po chwili doszedł do jego uszu szmer otwieranych powoli drzwi pokoju, potem szelest drobnych nóżek w korytarzyku, wreszcie ktoś odsunął okienko we drzwiach i zaraz je zamknął, a w minutę później nastała głucha cisza. Pan Jan nie mógł pojąć, coby to miało znaczyć, ilekroć dotąd znalazł się w tem miejscu, zawsze podwoje otwierały się gościnnie na jego przyjęcie, a dziś, choć wiedział, że pani Barbara jest w domu, gdyż słuch go nie mylił, spotkało go takie rozczarowanie.

W pierwszej chwili czarne myśli poczęły snuć mu się po głowie, w której zrodziło się straszne podejrzenie, streszczające się w zapytaniu:

Czy ona nas nie zdradza?!...

Gdyby tak wiedział, gdzie w tym czasie można spotkać pana Tomasza, niezawodnie wyszukałby go natychmiast, aby mu otworzyć oczy, gdzież jednak miał się zwrócić, skoro tenże należał aż do siedmiu bractw i codziennie słuchał mszy w innym kościele... Zresztą co powiedziałby na to nieszczęśliwy mąż, gdyby dowiedział się o swym garbatym losie, czy nie podejrzywałby swego przyjaciela, który puka do jego mieszkania właśnie w czasie nieobecności pana domu?.. Z drugiej znów strony przyszedł mu na myśl ów moment, gdy zdradzony mąż odpycha od swego boku wiarołomną żonę, a on, niczem ów rycerz średniowieczny, podaje jej pomocną i przyjacielską rękę i tym dowodem przywiązania przykuwa ją tem silniej do siebie...

Rozważając to wszystko, zmartwiony niepowodzeniem, podążył pan Jan do biura, zwłaszcza, że zbliżała się już dziewiąta, a dyrektor był także bardzo punktualny. Rzecz prosta, że był zupełnie, jak to mówią, „nie w sosie“, że wszystko go gniewało, nawet tramwaj, który według jego zdania dzwonił dziś za głośno i jechał za prędko i że chętnie wywarłby złość na pierwszym lepszym, kto mu się pod rękę nawinie...

Myśl jego zaprzątała ciągle ta niegodziwa niewiasta, której on poświęcił cały kwiat swych młodzieńczych uczuć, bolał także nad losem przyjaciela, gdyż jako człowiek serca współczuł ze zdradzonym małżonkiem.

Znalazłszy się w przedpokoju kancelaryi dyrektora, w którym on stale urzędował, osunął się Jan bezwładnie na krzesło i pogrążył w dalszych rozmyślaniach, z których wyrwało go dopiero wejście dyrektora.

Zerwał się na równe nogi i skłonił głęboko przed swym zwierzchnikiem, ten jednak widocznie także nie był dziś dobrze usposobionym, gdyż na samym wstępie, nim jeszcze miał czas zdjąć cylinder z głowy, zburczał go, iż spluwaczka pełna jest śmieci, a na posadzce leżą dwa niedopałki papierosów.

— Jan wie, że wymagam przedewszystkiem porządku i czystości! — wrzasnął z irytacyą i trzasnąwszy drzwiami, przeszedł do swego gabinetu.



Z małżeńskich dyskursów.

— Ty stary niedołęgo! Doprawdy wstyd, że się nazywasz mężczyzną... Gdybyś był Bertoldem Schwarzem, to pewnie ja musiałabym za ciebie wynaleźć proch...

Po oświadczynach.

— Więc przysiągł ci wieczną miłość i wierność?

— A to poco?... Tego nawet nie wymagałam od niego! W tej kwestyi nie dowierzam nawet sama sobie!...

W atelier.

— Ciekawa jestem, na czem się to skończy!... Miał malować tylko moją głowę, a tu nie upłynął jeszcze ani kwadrans i już jestem tylko w koszuli!

Miał słuszność.

Zdarzyło się niedawno w Krakowie, iż jeden z byłych posłów do parlamentu, o którym dość nieprzyjemnie pisano i mówiono powszechnie w całej Galicyi, chciał wsiąść do dorożki, aby się udać na dworzec kolejowy. Automedon, znający pana polityka, wzbraniał się jednak zadość uczynić jego żądaniu. Powstała sprzeczka, która ostatecznie skończyła się na inspekcyi policyjnej.

— Dlaczego nie chcieliście jechać? — pyta urzędujący komisarz.

— Z tego powodu, że gdybym był wziął go do powozu, ludzie byliby wołali z pewnością: patrzcie, jedzie ten łajdak, oczajdusza! — a ja nie wiedziałbym, do kogo się to odnosi, do mnie, czy do niego!...

Zapoznana ofiarność.

— Ładnych rzeczy dowiaduję się moja żono! Pod pretekstem, że popierasz moją kandydaturę do Rady Państwa, odwiedzasz różnych mężczyzn i aż włosy stają na głowie, gdy się słyszy, co ludzie mówią o tobie!..

— Czynię tylko to, co do mnie należy! Nie chcę abyś mi potem wyrzucał, skoro przepadniesz żem nie robiła, com mogła...

Dowód uznania.

Pani domu (do znanego powieściopisarza): Proszę pana, sprawiliśmy sobie umyślnie do salonu nowy stół mahoniowy, aby położyć na nim pańską powieść!...

Potulny baranek.

Pani profesorowa, właściwa głowa domu, siedzi przy obiedzie wraz z swym małżonkiem panem Ignacym, o którym cały Kraków opowiada sobie na ucho, że jest wzorem pantofla...

Zjedzono spokojnie rosół i mięso, pani profesorowa uważała, by mąż nic na talerzu nie zostawił i broń Boże nie poplamił obrusa, wreszcie podano pieczeń, której sporą porcyę nałożyła kochająca żona uczonemu mężowi. Gdy spałaszował wszystko, pani nałożyła mu drugie wydanie.

— Wiesz duszko! — poważa się na to zwrócić uwagę pan Ignacy — a ja byłem pewny, że mam już dość... Skoro jednak każesz...



Szczególniejsza zguba.

Zgłasza się na komisaryat
O godzinie wczesnej z rana
Jakaś panna i wywodzi
Swoje żale zapłakana.

„Zeszłej nocy — muszę wyznać
Że pijana byłam trochy
I zgubiłam przypadkowo
Nowy gorset i pończochy.

— Gdzie? — komisarz rzekł zdumiony —
Powiedz, gdy chcesz mej pomocy!
— Zaraz, niech przypomnę sobie!...
A!... w dorożce, dzisiaj w nocy!

— Więcej nic? — urzędnik pyta —
Bo ta strata nie jest wielka!
Nie! — odrzeknie panna na to —
Reszta, to już bagatelka!

Hm! Hm!...

Jedna z pań krakowskich poznała w towarzystwie młodego Czecha, którego przedstawiono jej jako pana Prohaskę. W rozmowie z nim zauważyła dama, że bardzo wiele nazwisk czeskich da się wyprowadzić od rozmaitych wyrazów, używanych w potocznej mowie, nie wiedziała jednak, jaką etymologię możnaby zastosować do nazwy nowego znajomego.

— *Prohaska*, łaskawa pani — odrzekł młody Czech — to polska przechadzka lub spacer.

W ciągu dalszej rozmowy przyszła dama do przekonania, że młody człowiek jest bardzo przyjemnym towarzyszem, przy pożegnaniu zwróciła się więc do niego z następującem zaproszeniem:

— Bardzo mi się pan podobał! Doprawdy, spędziłam w pańskiem towarzystwie kilka bardzo przyjemnych chwil... Byłabym bardzo zadowolona, gdyby pan zechciał mnie odwiedzić na przykład w niedzielę po południu... Po kawie moglibyśmy wybrać się na Panieńskie Skały i tam zrobić maleńką *prohaskę!* — dodała z zalotnym uśmiechem, wiedząc, jak Czesi kochają swój język i lubią, gdy się nim mogą w rozmowie posługiwać.

Co Jan sobie pomyślał, to może wiedzieć tylko ten, kto był kiedyś woźnym i znajdował się w takim stanie psychicznym, jak on dzisiaj. Niema wściekłość przeglądała z jego oczu, a kurczowo zaciśnięte pięści świadczyły, że dziś z nim zaczynać chyba się nie opłaci.

Barbara i dyrektor, to dwie postaci, które niczem krwiożercze sępy szarpały wątrobę biednego Jana!

Na domiar nieszczęścia za chwilę otwarły się znowu drzwi od gabinetu dyrektora, a on sam wpadł do przedpokoju jak bomba i zawołał:

— Psiakrew! Czy Jan już do tego stopnia zbałwaniał, że nie rozumie moich rozkazów?... Ile razy mówiłem, że akta należy zostawiać u mnie na biurku, a nie na krześle w przedpokoju?!... Zdaje mi się, że Jan prędzej stąd wyleci, niż się nawet spodziewa!...

Tego Janowi było już za wiele, zapomniał o pani Barbarze, a dyrektorowi poprzysiągł zemstę, prosząc Boga, aby sposobność jak najprędzej się nadarzyła.

I tak się też stało!

Nie upłynęło znów pięć minut, a dyrektor jakiś dziś rozdrażniony i zdenerwowany zjawił się znów w przedpokoju i rzekł tym razem już łagodniej:

— Słuchajno Jan, przez pół godziny nie ma mnie w biurze dla nikogo! Zrozumiano?

— Tak jest panie dyrektorze! — odparł Jan, uśmiechając się złośliwie i knując w myśli jakiś plan szatański. Wiedział on, co znaczy podobne powiedzenie pryncypała, do którego biura prowadziły jeszcze drugie drzwi tapetowe, wychodzące wprost na schody. Wszelkie dyskretne odwiedziny, jakie dyrektor niejednokrotnie przyjmował, kierowały się na tamtą drogę, przez przedpokój, w którym Jan urzędował, przechodzili tylko interesanci urzędowi i on ich anonsował.

Trzeba jednak dla historycznej ścisłości przyznać Janowi, że nie nadużywał nigdy swego stanowiska i ilekroć dyrektor rozkazał nikogo do siebie nie wpuszczać, nigdy nie nadsłuchiwał pod drzwiami, cóżby mu bowiem mogło przyjść z tego?...

Dziś jednak odezwała się w nim natura, a chęć zemsty skierowała go ku drzwiom wiodącym do gabinetu. Przysunął się na palcach, odsunął portyerę i począł nadsłuchiwać... Za chwilkę skrzypnęły drzwi tapetowe i do gabinetu weszła jakaś zapewne dama, gdyż odwiedzin męskich nigdy dyrektor nie otaczał taką tajemniczością.

Jak słup kamienny, uśmiechnięty i z zapartym oddechem śledził Jan co się dzieje wewnątrz. Dziurka od klucza wychodziła wprost na przeciwległe okno, dyrektor zaś i tajemnicza postać znajdowali się z boku, a rozmawiali tak cicho, iż ani jedno słowo nie dochodziło do uszu ciekawego famulusa...

Nagle drgnął.. Tak! to głos kobiecy i do tego jakiś znany... Przysunął się jeszcze bardziej ku drzwiom, cały zamienił się w oko i ucho; patrzył i słuchał, aby nie uronić ani jednego gestu, ani jednego słowa... Po chwili ujrzał, że dyrektor przeszedł w drugą stronę pokoju, a za nim posunęła się postać niewieścia, w której z przerażeniem poznał żonę przyjaciela, swego przyjaciela Tomasza — niewierną Barbarę, która dziś tak boleśnie serce jego rozkrwawiła...

Dysząc wściekłością i zemstą, byłby niezawodnie rozbił jednem uderzeniem pięści drzwi gabinetu i udusił obydwoje, prędko jednak nadeszła refleksya, iż w takim razie dyrektor niezawodnie wypędziłby go z miejsca, takiej zaś posady, jak ta, tak znów prędko nie znajdzie...

Postanowił jednak pomścić się na obojgu, na dyrektorze, za doznaną przed chwilą zniewagę, na Barbarze za jej niewierność i nie namyślając się długo, zamknął na klucz drzwi wiodące na korytarz, a sam pospieszył do izby odźwiernego i połączył się telefonicznie z buchalteryą, gdzie pracował mąż Barbary, pan Tomasz.

— Hallo! Czy buchalterya? — zawołał do tubki telefonu. — Tutaj Jan! Pan dyrektor kazał, aby pan Tomasz zjawił się w tej chwili w jego biurze!..!

* * *

Nie upłynęło i dwie minuty, w przedpokoju w którym tymczasem znalazł się już Jan i spokojnie siedział na krześle, zjawił się wystraszony Tomasz, który na samą myśl, że ma stanąć przed majestatem dyrektorskim, odchodził już od zmysłów...

— Panie Tomaszu! — rzekł Jan podając mu protekcyonalnie rękę z gestem, na który zdobyć się potrafi tylko woźny prezydyalny wobec niższego od siebie. — Pan dyrektor kazał abyście zaraz przyszli do jego biura, ale bez pukania, bo on nie lubi tych głupich formalności...

Pan Tomasz poprawił palcami fryzurę, przeżegnał się nabożnie, westchnął ze strachu, nacisnął klamkę i znalazł się w gabinecie dyrektota, okiem w oko swego pana i władzcy...

Jan tymczasem zacierał ręce i już za wczasu cieszył się, iż udało mu się nasycić uczucie zemsty, gdy w tem drzwi otwarły się znowu, a z nich wypadł Tomasz z przerażonem obliczem i zmierzwionemi ze strachu włosami i rzekł doń głosem, który przerywało łkanie:

— A to mi pan Jan narobił bigosu!... Każe mi iść do gabinetu dyrektora akurat wtedy, gdy tam jest moja żona, która przyszła prosić pana dyrektora o podwyższenie dla mnie płacy... Pan dyrektor się zgniewał, wyrzucił mnie za drzwi, i teraz... mój Boże... przez pana Jana nic nie dostanę!... A jak tu wyżyć przy tych ciężkich czasach z tak szczupłej płacy?!...



Najprawdziwsze opowiadania.

Zdarzyło się raz, że dyrektor Barabasz zapragnął dostać się Królestwa niebieskiego i w tym celu, stanąwszy u furty raju, nacisnął guzik dzwonka elektrycznego. Za chwilę otwarło się okienko, wyjrzał furtyan i pyta:

— Kto tam i czego chce?

— Jestem artysta-muzyk z Krakowa! Chciałbym się dostać do Królestwa niebieskiego!

— Nie potrzeba! My tu artystów nie przyjmujemy! — krzyknął zirytowany staruszek i zatrzasnął otwór.

Tymczasem jednak dyrektor Barabasz ciekawy był, jak też w niebie wygląda i począł przyglądać się przez dziurkę od klucza. Ku wielkiemu swemu zdziwieniu ujrzał tam jednak dyrektora Żeleńskiego, przechadzającego się pod rękę z Kopernikiem i Feliksem Jasieńskim.

Ubodło go to do żywego, iż jemu odmówiono prawa wstępu, a Żeleński i Jasieński je uzyskali, zadzwoni więc powtórnie do bramy raju.

— Czego? — woła głos z za drzwi.

— Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego mnie nie pozwolicie wejść do wnętrza... Jestem artysta muzyk pochodzę z Krakowa, tymczasem nie puszczacie mnie, a widzę, że Żeleński tam jest. Przecież to także artysta-muzyk...

— Co?... Żeleński artysta-muzyk?!... A bodajś w konia wlazł... A to się znasz na sztuce!... Żeleński nie jest żaden artysta-muzyk i nigdy nim nie był, kochasiu! Doskonały sobie!... — śmieje się staruszek furtyan, poprawiając okulary i szukając w kieszeni tabakierki...

* * *

Jeden z bardzo wziętych w Krakowie Eskulapów (wyznania mojżeszowego) powróciwszy późno wieczorem do domowego ogniska, prosi żony, aby go nie budzono w nocy, gdyby go ktoś wzywał, ale odpowiedziano zgłaszającym się, że wyjechał na prowincyę i powróci dopiero nazajutrz rano.

Przewidywania spełniły się bardzo prędko, gdyż nie minął kwadrans, a odezwał się dzwonek telefonu, który pani doktorowa ustawiła na nocnej szafce koło swego łóżka.

— Hallo! Kto tam? — pyta.

— Dobry wieczór kochanej pani! To ja jestem, Brachfeldowa! Czy jest mąż, bo chciałam się poradzić... Mój mały Icunio dostał szalonych boleści...

— Nie, kochana pani, mąż mój wyjechał, wróci dopiero rano!

— Co za szkoda! A my mamy do niego takie zaufanie!... Może pani mogłaby mi coś doradzić?... Jako żona lekarza, zna się pani przecież na różnych chorobach...

Rozmowę tę słyszał naturalnie i pan doktór, który jeszcze nie zasnął i półgłosem rzecze do żony:

— Powiedz jej, niech zrobi chłopakowi gorące okłady, to boleści ustaną...

Tak się stało; obie przyjaciółki życzyły sobie dobrej nocy i wesołych marzeń i po chwili sypialnię państwa doktorstwa zaległa głęboka cisza, przerywana tylko od czasu do czasu głośniejszymi oddechami lub westchnieniami obojga małżonków.

Było już nad ranem, gdy znów odezwał się telefon, a w nim głos pani Brachfeldowej, skarżącej się z płaczem w głosie, że pomimo natychmiastowego zastosowania kompresów, polepszenie nie następuje...

— Niech mu ugotują rumianku! — rzecze pan doktór do żony, a ta powtórzyła polecenie natychmiast przyjaciółce.

Pokazało się jednak, jak niewygodnymi są automatyczne telefony! Pani Brachfeldowa podziękowała za poradę i na zakończenie rozmowy pyta:

— Przepraszam panią, kochana pani doktorowa! A czy ten pan, co z panią leży w łóżku, to także lekarz?...

* * *

Pan Taubeles z polecenia swego domowego lekarza, który uznał go za głupkowatego, zgłosił się w szpitalu św. Łazarza i prosił o przyjęcie na oddział obłąkanych. Z staropolską gościnnością wciągnięto go w poczet pensyonarzy tak zwanej „szóstki“ i umieszczono w separatce, płacił bowiem za siebie. Lecz już od pierwszego dnia pobytu służba szpitalna nie mogła sobie dać rady z chorym, który nie chciał przyjmować żadnych pokarmów, a motywował swój upór bardzo racyonalnie, twierdząc, że on jest pobożny husyt, a pożywienie szpitalne trefne... Nie pomogły perswazye profesora Żuławskiego ani asystentów, pan Taubeles dotąd nie ustąpił, dopóki nie uczyniono zadość jego życzeniu i nie polecono mu przynosić jedzenia z koszernej restauracyi w mieście.

W pewną sobotę, gdy właśnie odbywała się wizyta lekarska, pan Taubeles siedział sobie spokojnie pod drzewem w ogrodzie i palił papierosa. Gdy to zobaczył profesor Żuławski, zwracając się do pacyenta:

— Panie Taubeles! Dziś sobota, a pan pali?... Przecież pan dopiero kiedyś utrzymywał, że jesteś tak pobożnym... Jakoś to się jedno z drugiem nie zgadza...

— Oj waj! — odpowiada na to zagadnięty — pan profesorże wi przecież, że ja jestem *miszigene!...*

Nawa Przyjaciół Słowian południowych
Ku świetnym losom pędzi całą parą,
I nic dziwnego, bo na **Słowian** czele
Między innymi stoi doktór Caro!

ooo

Za kulisami.

— Ale też pani ma dopiero mnóstwo nagniotków! — rzecze garderobiana do artystki, pomagając jej przy ubieraniu się.

— Tak! — odpowiada na to aktorka z westchnieniem — to jest jedyny mój zbytek, na jaki mogłam sobie pozwolić w czasie mej karyery artystycznej, przy tak szczupłej pensyjce!...

Na drugi dzień po ślubie.

— No i jakże? Czy zadowoloną jesteś ze swego męża?...

— Ot... tak sobie! Robi, co może!...

Usprawiedliwiona ciekawość.

(Rzecz dzieje się u pośrednika małżeństw).

— Zwracam jednak pańską uwagę, panie baronie, że tę właśnie partyę uznałem za najodpowiedniejszą dla pana. Posagu pięćdziesiąt tysięcy i nienaganna przeszłość...

— A czy nie mógłbym wiedzieć, wiele też lat liczy ta n i e n a g a n n a p r z e s z ł o ś ć?



Klub angielski.

Zebrało się kilku durniów u Wawelu stóp
I angielski zawiązało w naszem mieście klub.
Każdy wielbi przedewszystkiem wszechangielski sport,
Każdy wdziewa na swe cielsko echt-angielski kort;
Gra w tennisa, we footballach widzi wielki czyn,
Pije porter zamiast piwa, zamiast wódki dżin. .
Każdy angielskim zwyczajem goli sobie wąs,
Dla Albionu czuje zachwyt, dla swoich ma dąs.
Więc się cieszmy, że w tej dobie mamy taki klub
Życząc sobie, byśmy więcej mieli takich dób [1].

[1] Wyraz ten w rękopisie był napisany inną, może angielską ortografią. *Korektor.*

Pewien literat, ożeniony z artystką teatru, doczekawszy się świeżo potomka, w obawie przed złą wolą przyjaciół domu, zastrzegł sobie rejentalnie prawa autorskie.

Szczyt skromności.

Panna Barbara Cnotliwska, członek czynny żeńskiej Ligi ku poprawie obyczajów publicznych, jest tak skromną, iż urządzając dla siebie biblioteczkę domową, sprawiła osobną szafkę dla autorów rodzaju męskiego, osobną zaś dla autorek, twierdząc, może słusznie:

— Dzisiaj takie już zepsute czasy, iż człowiek nie może być nawet tutaj pewnym, że nie będzie zgorszenia pod mym dachem!

Wyznanie.

— Wiesz Jadźka, kochałam go doprawdy do szaleństwa!...

— A długo?

— Alboż ja wiem! Nie było w pokoju zegarka!

* *

— Pani! Gdyby pani chciała ofiarować mi swą miłość...

— To co?...

— Uważałbym się za najszczęśliwszego i najbogatszego ze wszystkich śmiertelników!

— Patrzcie go! Przez jednę noc chciałby się wzbogacić!

Dowód.

— Kasiu! o której godzinie pan dzisiaj powrócił do domu?

— Albož ja wiem, proszę pani! Ja spałam bardzo twardo, ale rano o siódmej, gdym się obudziła, to trzewiki pana były jeszcze ciepłe...

Zemsta.

— Jeden z krakowskich malarzy sportretował swą teściową i to w kilkunastu pozycyach.

— Skąd ci podobna myśl przyszła do głowy? — pyta go jeden z przyjaciół.

— Ha... każdy mści się w ten sposób, w jaki potrafi! — odparł zagadnięty.

Między teatromanami.

— Czy słyszałeś o postanowieniach zgromadzenia kobiet we Wiedniu, które domagają się, aby dyrekcye teatru zaopatrywały artystki w potrzebne do występów kostyumy i w ten sposób nie nastręczały im sposobności do zbaczania z drogi cnoty?

— Słyszałem! Słyszałem! Wobec tego czeka nas niezbyt przyjemna perspektywa!...

— Ależ! Jesteś w błędzie!... Dyrekcya może im sprawiać suknie, brylantów jednak od niej na pewne nie dostaną!..



Mądre myśli zakatarzonego.

Pokojówka oszukuje nieraz kochanka swojej pani.

Kto nie umie czytać w oczach kobiet, ten absolutnie nie powinien szukać przygód miłosnych, gdyż nie posiada w tym kierunku najmniejszego uzdolnienia.

Wyćwiczony należycie członek klubu jazdy panów, potrafi przy pomocy pieniędzy brać nawet największe przeszkody!

Dyskrecya jest rzeczą honoru! Z tego powodu nie opowiadaj nigdy swej żonie o stosunkach, jakie masz poza domem z innemi kobietami.

Bajczarstwo, to najpaskudniejsza wada! Nie opowiadaj przeto nigdy nic o swych znajomych, a już broń Boże nic o nich dobrego!

Szczęście jest ślepe... Tak powiadają wszyscy, którzy go znaleść nie potrafią.

Bardzo to brzydko, jeśli chce się igrać z uczuciami kobiety. Poważny człowiek robi wszystko na seryo.

Miłość, to choroba, która zawsze źle się kończy: niewiernością lub małżeństwem.

Małżeństwo porównują niektórzy matematycy z mnożeniem, niektórzy z regułą trzech.

Kobiety byłyby doskonałymi członkami parlamentu, gdyż zgadzają się z zasady na wszystkie przedłożenia wojskowe.

Dla mężczyzn jest miłość sztuką, dla kobiet rzemiosłem.

Dobra sława jest jedynym przedmiotem, którego straty nie zgłasza się w policyi.

W miłości dzieje się inaczej, niż n. p. przy grze w karty. Dama znaczy tu zwykle więcej, niż król.

Nie spędzaj nocy poza domem, jeśli twoja gospodyni ma przystojne córki.

Kobieta przypomina zupełnie długi romans... dalszy ciąg często nudzi człowieka.

Gdy kobieta jest już zupełnie zgubioną, powiada się, iż straciła głowę, choć głowa najmniej tu w grę wchodzi.

Niejedna dziewica upada tylko w tym celu, aby módz stanąć o własnych siłach.

Kto w miłości chce być bardzo mądrym, popełnia najczęściej same głupstwa.

Na pierwszą schadzkę spaźnia się kobieta, na drugą przychodzi punktualnie, na ostatnią za wcześnie.

Monolog Józia Kwileckiego.

Zapadł już wyrok w sądzie najwyższym nie-
[mieckim,
Mam prawo się nazywać Józefem Kwileckim.
Dobre i to na razie, chociaż to zagadka
Czy się nowa nie znajdzie jaka dla mnie matka?
Choć nie uznano we mnie Majerowej dziecka,
Jeszcze nie dowód, że mnie rodziła Kwilecka.
A choćby dowiedziono, że jestem jej synem,
Klin wbity do mej głowy, pozostanie klinem,
Bo choćby się zebrały wszystkie sądy świata,
To nie dojdą z pewnością, jak się zwał mój tata.

Przy kawce.

— Czytała droga pani, że w Monachium założono kąpiele dla psów? Jacy ci Niemcy poczciwi...

— Powiedz raczej, kochana pani, jacy niemoralni!

— Jakto?

— Bo się tam psy kąpią razem, bez różnicy płci.

— A, fe!

PRZYJACIELE.

Radca Kosobucki mówi wciąż otwarcie,
Że odda Wolnego smokom na pożarcie,
Ale radca Wolny też jest pewny siebie,
Że Kosobuckiego na zawsze pogrzebie!

Z towarzystwa.

— Czy czytał pan „Piekło“ Dantego?

— Nie, łaskawa pani, ale mam o niem jakie takie pojęcie, byłem bowiem już dwa razy żonaty!...

*

— Wiesz, mój mężu, ja zupełnie inaczej wyobrażałam sobie naszą podróż weselną!

— Ciekawy jestem, jak?

— Mniej podróży, więcej zaś wesela!..

*

— Nie spodziewałam się, mój kochany, że dziś wrócisz! — rzecze żona do męża, który bez zapowiedzenia powrócił w domowe pielesze.

— Nie wierzę temu, przecież spisz sama!...

Jak zwykle.

— Panno Zosiu! Daj mi pani sposobność, bym mógł złożyć dowody, jak ją kocham szalenie...

— I owszem! Pozwalam panu zapłacić rachunki u mojej krawcowej...

— A potem?...

— Potem będę mogła robić nowe długi!...

Między teatromanami.

— Bój się Boga! Ty chcesz się żenić z tą aktorką! Co na to powie twa zacna rodzina?.. Czy zniesie coś podobnego?..

— Ależ... uspokój się... co ona za artystka! Widziałeś ją już nieraz na scenie, więc wiesz, że gra pod psem!...





Na ulicy.

— Państwo tego roku nie wyjeżdżają do kąpiel?

— Już nie potrzeba!... Nasza Mania zaręczyła się z doktorem...

Ze słownika kobiecego.

Jak się słyszy?	Jak się powinno rozmawiać?
— Panie! Jak pan śmiesz pozwalać sobie na coś podobnego?	— No! Nareszcie jakoś ośmiela się ten niedołęga!...
— Za kogo mnie pan ma?	— Zdaję mi się, że już musiał słyszeć coś o mnie od swych przyjaciół?
— Ach! niegodziwcze!.. O ja nieszczęśliwa!..	— Sympatyczna bestyjka... Mężczyzna w każdym calu!...
— Panie! Ja opowiem wszystko mamie zaraz po powrocie!...	— Ach! Aby tylko potrafił trzymać język za zębami!
— Jak pan musi mną teraz pogardzać!...	— No! Zdaje mi się, że ten mi się tak prędko nie sprzeniewierzy...
— Dziś widzimy się poraz ostatni, mój panie!	— Ten osioł jeszcze się dotąd nie spytał gdzie i kiedy spotkamy się znowu!...

Usprawiedliwiona obawa.

— Czy nie zechciałaby pani pofatygować się do mnie, aby oglądnąć me zbiory japońskie?

— Dziękuję bardzo, ale boję się, aby mi potem nie pozostał w upominku... mały Japończyk...

Grzeczny kawaler.

Ach! Jak ja zazdroszczę temu katarowi, którego pani ma?

— A to dlaczego?

— Bo może pani opaść tak łatwo na piersi!

Po ślubie.

Mąż: Czy wiesz moja Haniu, że twój posag wystarczy zaledwie do zaspokojenia połowy mych wierzycieli?

Żona: Nie rób sobie nic z tego! Ja ci już dopomogę do porozumienia się i z drugą połową!..

Nieporozumienie.

Mąż (czytając na głos gazetę): Ching, Na-Tung, Hsüh-Shishang, Kiang-Tung-Yen, Lu-Yun-Hsiang, Yu-Lang, Tsai-Shung, Yung-Ching...

Żona: Bój się Boga! Cóż ty chcesz naśladować mówiącego psa?

Mąż (z oburzeniem): O kobieto! Toż to lista nowego ministerstwa chińskiego!... I wy kobiety chcecie równouprawnienia?...

Prof. Makarewiczowi.

Zeszedłeś pan z katedry, aby bronić zbrodni
I na dziennikarzy rzucasz się zuchwale.
Minąłeś się z karyerą — tacy, jak ty, godni
Uczyć nie na katedrze, ale w kryminale.



— Ach! Gdybym tak wiedział, czem można usunąć tę oziębłość pani!...
— Sądzę, że najlepiej i najpewniej ogniem brylantów!



— Cóż jednak zrobię, jeśli przypadkiem nadejdzie twój mąż...
— Nie bój się! On ma tak krótki wzrok, że z pewnością weźmie cię za mego kuzyna Alfreda, który codzień mnie odwiedza!



— Dziwni są ci mężczyźni! Ten osioł jest przekonany, że ja tutaj przyszłam tylko w celu rybołowstwa...



— Co?... Znów o czwartej rano wracasz do domu?... Powiadam ci, że jeśli się to jeszcze raz powtórzy, znajdziesz swe miejsce w łóżku zajęte!...
— Mnie się wogóle zdaje, że ja go już dawno tam nie mam!



— Nie, panie! Nie zgodzę się na to, abyś mnie miał odprowadzić do domu! Coby na to powiedziała moja gospodyni!

— Możesz pani przecież w nią wmówić, że ja jestem twym bratem.

— Aha!... Myślisz pan, że uwierzy, iż ja mam tylu braci...



— Zahypnotyzuję panią i zmuszę ją, by mnie pani pocałowała za pół godziny...

— O... wielka sztuka! Ja to potrafię zrobić bez zahypnotyzowania i do tego daleko prędzej...



— Ten baron, to doprawdy we wszystkiem jednaki! Już pół godziny nastawia aparat i ani rusz nie może sobie dać z tem rady...



— Tak, tak, łaskawa pani! Nieszczęście prześladuje mnie na każdym kroku. Straciłem majątek, moje konie wyścigowe przegrały, żona uciekła z kochankiem... Zdaje mi się, że nie może mi się przytrafić już nic gorszego...

— Owszem, żona może wrócić!



Ferdek Eleuteryk.

Pozwolińskwo z Lembergu ani rusz nie chce przyknajać do Krakowa, a tu czas najwyższy, bo zanim upłynom dwa tygodnie, zatrzeszczy urna wyborczo i wyńdom z nij na widok publiczny kandedaty, które majom zbawić cały naród i kraj i dać nam to, co ich poprzedniki naobiecowały, a nie dotrzymały. Myśle se, że chyba pon namiestnik pogniwoł sie na Kraków, choć nimo o co, bo my go tu przecie zawsze galanto przyjmujemy, a *Słowo Polskie*, które mu włazi na nagniotek, wychodzi nie nad Wisłom, ino nad Pełtwiom. Trunda randa, bedzie sie człek musioł dalij nazywać po swym ojcu, nimożna zmienić nazwiska na odpowiednijsze.

Skróś tygo dołem se tyż spokój i nie kandeduje z raminia partyi kunserwatywnyj, bo jakżeby wyglondało, gdyby tak prawdziwe hrabiowie i krakoskie dymokraty miały popirać człeka, co nie kończy sie ani na „ski“, ani na „wicz“, nie jest radcem, prefesurem, menczynasem, kunserwatorem, abo choć papiskim siambelanem!... Choć właśnie oto, powiado Siapsia, że dziś nastały już takie postempowe czasy, że najwinkszo arestokracyjo, tak kunserwatywno, jak i dymokratyczno, na końcówki nic nie uważuje, a popiro nawet takich, którym kuńca brakuje...

Skoro wienc nie trace czasu na agitacyjom wyborczom za samym sobom, z tym wienkszom energiom jezdem bawioncy sie w hijene wyborczom i wensze, jak kużdy zresztom Krakowianin, skond najlepszy wiatr jest wiejoncy i w któryj krakoskij dzielnicy mógłby znajoncy sie na jenteresie niezależny obywatel być najwienkszy prefit zyskujoncy...

W śródmiściu (gdzie Siapsia mo swoje lary i piernaty) kandeduje pon prezydent Lyo, uproszony przez całom Rade mijskom i redakcyje *Gazyty Poniedziałkowyj* i *Ilustrowanygo Kuryjera Codziennygo*, a na swojom renke i noge pon Staniszeski ze Sparkasy i Zakładu zastawniczygo. Tygo ostatnigo chyba wypadałoby popirać, bo my oboje z Mańkom mamy właśnie tam ulokowane nasze klejnoty familijne, to jest ona korole po matce, a jo srybrnom sikore, ochfiarowanom mi przez jednygo z kandedatów do Rady mijskij za to, żem sie zrzekł swyj kandedatury. Ani jo ani on nie wyleźlimy z urny, ale wdzinczność mi okazoł, jak sie patrzy, przytym skirzyli my sie oba. jo z wielgij radości, on z straśliwygo smentku. .

Drugi okryng, to jest Stradom z Nowym Swiatem, mo być polem walki, gdzie sie zetrom na udeptanyj ziemi markiz od *Reformy* i Sikora, kanalorz. I jedyn i drugi majom swoich zwolenników, bo jenżyniery powiadajom, że bez Sikory nie bedzie kanałów, tak jak wiosny bez jaskółków, a Michaś z Konopi grypso w *Reformie*, że jeźli tym razem markiz z urny nie wylezie, bedzie napewno kuniec świata, zwali sie znowu most i muzyum. a Wisła zaleje pół Krakowa. Z tygo wienc widać, że oba kandedaty som bardzo wodniste, jo zaś wody, nawet denaturowanyj, nie znosze, żodnemu wienc nie obiecuje poparcio. Pono i doktór Marek tłucze sie po Stradomiu i Nowym Swiecie, żeby sie zemścić za Ignaca, któremu skradli kawołek Wesołyj, ale z tygo, zdaje mi sie, bedom nici, zresztom socyały trzymajom ze żydami, a wiadomo, gudłaje kiełbasy nie jadajom, wienc z takiemi wyborami do bani!

Przy tyj sposobności warto zawadzić i o Każmirz, gdzie jedynym kandedatem narodowym, o którem dotond nie wiemy, czy wlezie do Koła polskiego, czy nie, jest niezawisły dr. Gross. (Tak sie ino nazywo, choć mikrnego jest wzrostu, ale i Napolijon był mały, a robiuł wielgie i morowe awantury). Tutoj kandedaty nie kwapiom sie znowu tak bardzo, bo na Kuźmarku kumitet oglondo mentryki, czy som w porzondku, a poprawinie ich na świadectwa urodzynio jest połonczone z bardzo bolesnom operacycyjom, na którom nie kużdy sie zgodzi, nawet za cene dyjet poselskich po dziesinć fajgli za dziń parlamentarnyj pracy. Lichy to szmercgield, wobec tygo agitacyjo mała i zarobek tu żoden.

Na Kleparzu (ojczyzna mojij Mańki) kandeduje pon Zielenieski i pewnikiem jaki jeszcze towarzysz, z wyżyj wienc przytoczonych powodów jezdem i tutaj od obywatelskij pracy sie wstrzymujoncy, bo trzymom sie krakoskich zasad: „Kto smaruje, ten jedzie“ i „jak sie do, to sie zrobi“, a tu nie bedzie nikt smarujoncy, ani nikt dajoncy.

Zato na Wesołyj bedzie wesoło zabawa, bo tutoj towarzysz Ignac masiruje na czele towarzyszów przeciw admirałowi Petelinzowi, który znów nimoże w żoden sposób rozwinonć swoich sił bojowych, bo na Wesołyj akurat nima wody! Była stara Wisła i bajury na Librowszczyźnie, ale je zasypali, jest wprawdzie stawek w Botanice, lecz w nim lengnom sie ino ziaby. . Prócz tych dwu poważnych kandedatów bedzie jeszcze ze dwu kolejarzy przynajmnij, bo już dziś godajom o Starzeskim i Tabaczyńskim, wienc zapowiado sie ożywiono agitacyjo, połonczono po krakosku z wzajemnym wymyślaniem, kirom i wyżyrom za durno! Klawo bedzie zabawa, wienc zdaje mi sie, trza sie bedzie przeniść na Wesołom, jeźli sie człek bedzie chcioł wesoło zabawić!...

Jo ta na razie nikogo nie popirom oficyalnie, bo żoden z kandedatów dotond farby nie puściuł, a jako byłem już nieroz mówioncy, nie jezdem zważajoncy na czcze słowa i gadanine, ino na czyny obywatelskie, czyli jenszemi słowy powtarzom jeszcze roz: jak sie do, to sie zrobi... kto chce jechać do Widnia, niech smaruje, to my go poprzemy! Wtedy bedzie mógł pojechać nawet ajeroplanem, a nic złygo mu sie nie przydarzy!

Co ta zreśtom godać, za dwa tygodnie bedziemy już wiedzieć, kto nos zbawi!...



Jest na to rada.

— Bój się Boga, Zośka! Ty czytasz *Bociana?* To cię zanadto rozdrażni!...

— Nie bój się, mój narzeczony będzie tu najdalej za kwadrans!...

Skutki wycieczki.

— Oho! Widzę, że mój gorset nie da się już dopiąć! — rzecze do siebie panna Hania. — Oj, Waciu! Ostatnia nasza wycieczka na Panieńskie Skały będzie cię, zdaje się, drogo kosztować!...

W sądzie.

— A kiedy pan przekonał się, że żona zdradza pana z kim innym?

— Od chwili panie sędzio, gdy bez mojej winy, a tylko dzięki jej, rok po roku zostawałem ojcem. Mamy obecnie ośmioro dzieci, a żadne do mnie nie podobne!...

Brylant.

Przeciw wszechpolaków okrutnej potencyi
Broni Ekscellencya Jego Ekscellencyi.
Bobrzyński to brylant, zaręcza Czarnowski.
Być może, lecz brylant, tylko stańczykowski.
Prawdziwy brylant oprawny jest w złoto,
Lecz się nie zanurza w Stapińskiego błoto.
Prawdziwy brylant własnym blaskiem świeci,
Nie szuka przyjaciół wśród żydowskich śmieci.
Prawdziwy brylant bywa czystej wody,
Stoi zatem zdala ukraińskiej trzody.

Z wyborów.

Kandyduje i Dulęba
Ono zero, owa gapa,
A popiera go usilnie
Osławiony Janek Stapa.
Oba wspólny koniec mają,
Obu ma wybierać wieś,
Pierwszy się na **d** *zaczyna*
Drugi gorzej bo na **ś.**

O rozum Nowosączan trudno nie mieć troski,
Jeśli tam zwolenników ma Juliusz Bandrowski,
Ex-dentysta, ex-lekarz, ex-dyrektor sceny,
Nawet ex-publicysta wśród grodu Syreny.
Jak się cieszy uznaniem, to z tego wynika,
Że na jego wspomnienie, każdy nos zatyka.
Ale dajmy mu spokój, pomińmy tę rurę,
Bo ogłasza, że cofnął swą kandydaturę.

Kandyduje pan Zieliński
W Tarnowie,
Znany z tego, że posiada
Pstro w głowie.
Niech poczeka, aż nań przyjdzie
Też kolej,
To jest, kiedy we łbie będzie
Mieć olej.

Odkąd ma przeciw sobie niechęć namiestnika
Niejednego Zamorski zyskał zwolennika.
Owa niechęć albowiem jest najlepszym znakiem,
Że kandydat z pewnością jest dobrym Polakiem.

Prawdziwe zdarzenie z państwa Marsa.

Komendant korpusu przybył do miasteczka, gdzie stał załogą szwadron ułanów. W czasie lustracyi był obecnym także i w szkole jazdy konnej, którą prowadził jeden z poruczników, wedle ogólnej opinii człowiek nader energiczny. Chcąc się popisać wobec przełożonego, klął porucznik tak siarczyście, iż był pewnym najwyższej pochwały i uznania. Ogromnie też się zdziwił, gdy jenerał, wychodząc po godzinie z ujeżdżalni, rzekł doń:

— No, że pan klniesz jak parobek od koni, o tem miałem się sposobność przekonać, ale byłbym także ciekawy, czy pan umiesz równie dobrze i jeździć konno!...

Jak się to czasy zmieniają.

Żona: W pierwszych miesiącach naszego małżeństwa, mąż mój gasił zawsze światło, ilekroć chciał być wobec mnie czułym, teraz, ilekroć ja się znajdę w tem położeniu, muszę zapalić świecę, bo inaczej się nie obudzi!...

Na inspekcyi policyjnej.

Nad ranem zgłasza się na inspekcyi policyjnej jakiś nieco zawiany jegomość, który zawiadamia władzę, iż w jednej z podrzędniejszych kawiarni skradziono mu z kieszeni portmonetkę z kilkudziesięciu koronami.

— A jak wyglądała? — pyta urzędujący komisarz.

— Wysoka brunetka, panie komisarzu! — odpowiada zagadnięty — w jedwabnej sukni popielatej i kapeluszu z niebieskiemi piórami!...

W sądzie.

— Nazwisko pani?
— Eulalia Dziurkiewicz.
— Stan?
— Wolny...
— Lat?
— ...(Świadek czerwieni się i milczy).
— Pisz pan: świadek nie może sobie już nawet przypomnieć!
— Panie sędzio! Już powiem! Skończyłem trzydzieści dwa lata...
— A jak dawno?...

A la Lemański.

W Warszawie cieszy się wielką sławą jako poeta-satyryk Jan Lemański. Dla nieznających utworów tego geniusza, przytaczamy kilka próbek ze „Zwierzyńca“, drukowanego w „Kuryerze Warszawskim“ (Nr. 159):

Lew.

Długa grzywa,
Wzrok wyzywa,
Mrozi krew —
Oto lew...

Tygrys.

Niema w nim litości
Dla pospolitości
Bawolich stad
Srogi zeń kat.

Pies.

Nad całością naszych kies
Jest najlepszym stróżem pies:
Ni gotówki, ni czeka
Nię postradasz gdy pies szczeka.

Wilk.

Zęby wilcze, wilcze gardło
Co zobaczy toby żarło.
Jeżęli kto w zimę wlazł
Albo wjechał w gęsty las.

Otóż w „koszach“ naszej redakcyi znajdują się całe setki dowcipniejszych i lepszych pod względem formy utworów. Wybraliśmy na chybił-trafił kilkanaście i oto one:

Miłość.

Naprzód liże i głaszcze
A potem otwiera paszcze,
Wreszcie włazi w krtań jak ość
I masz jej już człeku dość.

Kogut.

Dała mu natura
Ogon, pięknę pióra.
Żon ma całę mrowię
I grzebień na głowie.
Stoi przy kurniku
Wrzeszczy kukuryku.
Dumnym krokiem chadza
Jako zwierzchnia władza.

Tygrys.

Pytała się męża żona
Czemu ten pies bez ogona?
On jej na to: Był tu tygrys,
Co psu gębę wygryzł.

Osioł.

Chociaż głupi, to się puszy
Z tego, że ma długie uszy.
Gdy się uprze, to choć wal,
Nie posunie się na cal.
Czasem w swojej wielkiej pysze
Częstochowskię wierszę pisze.
Lecz są jeszczę większę osły
Co do góry go podniosły,
Więc gdy stęknie, krzyczą: liryk!
A gdy wierzgnie, to: satyryk!

Wół.

Ma na łbię rogi
I cztery nogi.
Nie lubi krów
I stąd jest zdrów.
Był z niego byk
Alę się wścik.

Świnia.

Świnią słusznię się nazywa,
Bowiem brudna zawszę bywa.
Nawet i to zjada
Co nię wypada.

Nos.

Nad gębą wyrasta
Z człowieczego ciasta
W postaci rury
Co ma dwię dziury.
Kiedy gardło łyka zdrowo,
Nosi barwę malinową.
Wciąga, węszy, sapie, wzdycha,
A gdy katar ma, to kicha.
Ba! gdy katar tęgi złapie,
To mu z obu dziurek kapie.

Ona.

Ogromna mięsa kupa,
Nazywają ją: chałupa.
Ma istnienia dwa cele:
Zasiada krzesła, fotele,
A zę śniadań i obiada
Wychodzi z niej marmolada.
Czasem się też i odzywa,
Co na węch niemilę wpływa.

Ono.

Chociaż budynki dla niego wznoszą
Wszędzie się lubi szwendać z rozkoszą,
A więc ję znajdziesz leżącę sznurem
Pod każdym płotem, pod każdym murem,
A i w trawie, w pośród żyta
Leży moc ich znakomita
Już to w postaci kiełbasy,
Już to ciemno-żółtej masy
A omijaj je z szacunkiem
Zwłaszcza gdyś pijany trunkiem,

Rozbicki redivivus.



Z indyjskich obyczajów.

U niektórych szczepów czarnoskórnych sen uważany jest za coś świętego, a treść jego powinna być o ile możności wypełnioną, jeśli się nie chce ściągnąć na siebie gniewu bogów.

Pewnego razu przybył młody oficer angielski do obozu Indyan i zaproszony przez ich wodza, przenocował w jego namiocie. Gdy rano przebudzili się ze snu, Indyanin rzekł do Anglika:

— Czy wiesz? Śniło mi się tej nocy, że ofiarowałeś mi na pamiątkę swoją strzelbę!

— Anglik, znający obyczaje i zwyczaje indyjskie, nie mówiąc ani słowa, wręczył wodzowi swą kosztowną dubeltówkę, po chwili zaś odezwał się z uśmiechem:

— To ciekawe! Ja także miałem sen! Śniło mi się, że twoja córka najmłodsza na kilka tygodni udała się ze mną w podróż i przez ten czas kochała mnie z całego serca...

Czerwonoskóry zbladł, o ile naturalnie przy swej cerze potrafił, po chwili jednak przyprowadził swą urodziwą córkę przed Anglika i rzekł do niej:

— Jedźcie sobie w świat na jakiś czas, ty zaś, moja mała, pamiętaj, że powinnaś go kochać, bo tak żądają bogowie!...

Następnie zaś zwrócił się ku Anglikowi i rzekł z gniewną miną:

— Z tobą nie chcę już nigdy śnić razem, bo to się absolutnie nie opłaci!...



Takie wymagania!

— Przedewszystkiem jednak, moja droga Zosiu, wymagam od ciebie wierności...

— Widzę, że miały słuszność moją przyjaciółki, przedstawiając pana jako oryginała i dziwaka!...

Modne małżeństwo.

— Powinnaś jednak, moja Haniu, uważać na swą dobrą sławę i bodaj teraz, gdy jesteś już zamężną, pożegnać swego przyjaciela domu...

— A cóż, moja droga, warte małżeństwo bez miłości?...

Delikatny.

Pan porucznik X. z wesołą miną oświadczył wieczorem swemu służącemu, poczciwemu Maćkowi z pod Wieliczki, iż się zaręczył, co tenże naturalnie przyjął do wiadomości.

Nazajutrz rano puka Maciek wedle zwyczaju do drzwi sypialni swego chlebodawcy, a usłyszawszy stereotypowe: Można! — wszedł do wnętrza, jednakowoż tyłem i plecami zwrócony ku łóżku począł się posuwać po pokoju.

Zdziwiło to porucznika, zaczął przypuszczać, czy przypadkiem Maciek nie zwaryował. Aby się upewnić woła więc na niego:

— Maciek, a ty czego tak się ciągle odwracasz od łóżka tyłem?...

— Melduję posłusznie — odpowiada zagadnięty, zwracając się powoli twarzą ku swemu panu — pan lajtnant godali wczoraj, że się zaręczyli, to też jo nie chciałem przeszkadzać!...

Potwierdzenie przesądu.

— Ach! Przynosisz pan perły!... One przecież oznaczają łzy!...

— Tak, tak, łaskawa pani! Ja też gorzko płakałem, gdy przyszło za nie zapłacić!

U Bisanza.

— Kto to jest ta elegancka facetka, z którą byłeś wczoraj na kolacyi? — pyta słomiany wdowiec towarzysza niedoli.

— Kuzynka mojej żony... Przyjechała wczoraj z prowincyi!

— Aha! W takim razie nasze żony są ze sobą spokrewnione...

— A to w jaki sposób?

— Zeszłego roku była ona krewną mojej żony i przyjechała właśnie do Krakowa z prowincyi w tym czasie, gdy moja żona bawiła w Zakopanem... Wobec tego musiałem się sam nią zająć, tak jak ty czynisz to teraz...

Z poufnych zwierzeń.

— Powiedz mi, jaką radziłbyś mi wybrać sobie żonę?

— Alboż ja wiem? Różni ludzie mają rozmaite gusta... Jeden woli blondynki, inny znów pieniądze...

Między kokotkami.

— Więc ty, Zośka, tak pierwszemu lepszemu rzucasz się w objęcia!...

— E... Co ty gadasz! To dzisiaj już szósty!



Czyżby?...

(Obrazek z życia codziennego).

Państwo Stanisławowie byli bardzo dobraną parą małżeńską. On młody, silny, przystojny i co najważniejsze, wesoły, ona nadzwyczaj sympatyczna i nie nadużywająca przewagi, jaką opatrzność daje kobiecie jako broń przeciw tyranowi rodzaju męskiego, związanemu z nią dozgonnym węzłem wierności i miłości.

Pobrali się przed kilku laty i od tego czasu tworzyli tak przykładne stadło, iż stawiano ich za wzór wszystkim kandydatom i kandydatkom do jarzma małżeńskiego, najmniejsza chmurka nie zaciemniła dotąd jasnego horyzontu wspólnego pożycia.

Gdy bezpośrednio po połączeniu się odbywali podróż poślubną, napotkali w czasie swej wędrówki gdzieś koło Limanowy gromadę cyganów, pomiędzy którymi znajdowała się stara matrona, uchodząca w całej okolicy za nieomylną wróżkę. Przepowiednie jej spełniały się wcześniej czy później co do joty, sławą swą przewyższyła nawet bł. pam. Ryfkę Gęsińską z Podbrzezia, u której nasze babki i ciotki zasięgały wiadomości o swych przyszłych losach.

Otóż owa stara cyganicha wywróżyła wówczas młodej parze, iż czeka ją życie bardzo szczęśliwe, mogą się spodziewać licznego i dorodnego potomstwa, które wyrośnie na pociechę rodziców i chlubę całej Galicyi. Ponadto ofiarowała im na sprzedaż flaszeczkę cudownego płynu, przeźroczystego jak kryształ, mającego jednak tę własność, iż gdyby przypadkiem sprzeniewierzyło się jedno drugiemu, zmątnieje w jednej chwili i stanie się czarnym, jak atrament krajowego wyrobu.

Cena nie była zbyt wygórowaną, cyganka bowiem za ów eliksir zażądała tylko koronę, państwo Stanisławowie nabyli więc flaszeczkę, aby się pozbyć natrętnej wiedźmy i po powrocie do Krakowa postawili ją na półeczce w sypialni pani domu.

Od tego czasu minęły cztery lata, o cudownym płynie zapomniano zupełnie, tak jak i o przepowiedniach cyganki, choć zdawały się sprawdzać. W tym okresie rodzina państwa Stanisławów powiększyła się o trzy osobniki, stanowiące pociechę mamy i taty, wujcia Władzia i przyjaciela domu, pana Kamila.

W bieżącym roku wyjechała jednak pani Stanisławowa do Zakopanego na cały maj, aby poratować swe zdrowie, męża zatrzymały w Krakowie zajęcia zawodowe. Nie odwiedzał nawet swej magnifiki, gdyż dyrekcya kolejowa zaprowadziła pociągi kominiarskie dopiero od 15 czerwca, pocóż zresztą miał jeździć, skoro był pewnym, że Karolcia obejdzie się bez kontroli i pozostanie mu wierną.

* * *

Było to właśnie ostatniego maja, pan Stanisław, ułożywszy swe pociechy do snu, wraz z przyjacielem Kamilem oczekiwał na kochaną żoneczkę, która dziś właśnie około północy miała powrócić w domowe pielesze.

Obaj młodzi ludzie żartowali swobodnie i przypominali sobie dawne lata, gdy wtem oko pana Stanisława padło na stojącą samotnie na toaletce ową tajemniczą flaszeczkę z cudownym płynem. Był on ciągle czystym jak łza.

— Wiesz co, Kamilu?... Wartoby zrobić szopkę i nalać do flaszeczki atramentu... Dopiero to będziemy mogli kpić sobie z Karolci i robić różne przypuszczenia! — rzekł Stanisław.

— Doskonały pomysł! — odparł Kamil poważnie, aprobując projekt przyjaciela.

Nie upłynęło pięć minut, płyn we flaszeczce, stojącej ciągle na tem samem miejscu, był czarny, jak noc listopadowa w czasie nowiu i zaćmienia księżyca.

* * *

Około jedenastej w nocy udali się obaj przyjaciele na dworzec, przywitali panią Karolcię i w tryumfie odprowadzili do domu. Poczciwego pana Kamila, który był wiernym druhem pana domu w czasie jego samotności, zaproszono jeszcze na herbatkę, a obaj przyjaciele już zawczasu cieszyli się wrażeniem, jakie zrobi tajemnicza flaszeczka, którą miano oglądnąć w stosownej chwili.

Przed udaniem się jednak do buduaru pani, gdzie nakryto do herbaty, prosiła pani Karolowa, aby panowie zatrzymali się chwilkę w gabinecie pana domu, musi bowiem poprawić swą fryzurę i za parę minut ich zaprosi.

Tak się też stało...

W czasie wesołej rozmowy przy doskonałej herbatce, oczy pana Stanisława i Kamila zwróciły się równocześnie na toaletę i ową flaszeczkę, której treścią mieli wprawić panią domu w zakłopotanie.

Któż jednak opisze ich zadziwienie i osłupienie... Płyn, przed chwilą zupełnie czarny, przeźroczysty był jak kryształ, a flaszeczka stała ciągle w tem samem miejscu...

Ruch kobiet.

Wciąż się wzmaga ruch kobiecy
Hasłem walki brzmi świat wszystki,
Zewsząd mężczyzn wypychają
Rozwścieczone sufrażystki.

I do tego przyjdzie wreszcie,
Że w fabryce i urzędzie
Na katedrze i w redakcyi
Nigdzie chłopów już nie będzie!

Przekonany o tem jestem,
Że mniej więcej tak do stu lat
Spełni się na hańbę mężczyzn
Ten zaborczy ich postulat.

Lecz na jednem stanowisku
Drwić możemy z ich pogróżek:
Najzaciętsze sufrażystki
Nie wypchają mężczyzn — z łóżek!...

Z Nowego Jorku.

W jednej z nowojorskich kawiarni grało w ta roku towarzystwo, złożone w przeważnej części z emigrantów europejskich, którzy przed niedawnym dopiero czasem przybyli na gościnny teren amerykański. Prócz partnerów byli i nieodzowni kibice. Szczególniej jeden z nich, stojący za krzesłem najbardziej pechowatego gracza ani na krok nie ustępował. Gracz był nieco zabobonny, po chwili, gdy już mu się sprzykszyło nieproszone towarzystwo, odwrócił głowę i rzekł:

— Że też pana nogi nie bolą?... Niechże pan przecież raz siada!..

— Gdybym był chciał *siedzieć*, byłbym został w Europie! odparł z poważną miną pan Pomeranz i stał dalej niewzruszenie.

Dwuletnia służba.

— Jak zapatrujesz się na projekt dwuletniej służby wojskowej?

— Dla tegoczesnych mężczyzn i to za wiele! Przypatrz się, jak wygląda twój mąż po dwuletniem spełnianiu obowiązków małżeńskich!...

Znawca.

— Te skrzypce, na których jutro zagram na wieczorku u pana barona, mają już przeszło dwieście lat!...

— Niech pan sobie z tego nic nie robi! Sądzę, że nikt tego nie zauważy!...

Jej troska.

„Postępowa medycyna
Bierze się na nowy sposób —
Przez pchły można się zarazić
Chorobami drugich osób!...

Gdy pchłę tylko gdzie zobaczę
Zdaje mi się, żem już chora!...“ —
Tak się swojej przyjaciółce
Użalała panna Flora.

— No! przesądów takich głupich
Nie spotkałam u nikogo! —
Odpowiada przyjaciółka
— Cóż cię pchły obchodzić mogą?!

— Ach! niebaczna! — westchnie Flora
Tylko nad tem się zastanów,
Jak zapchlone są sienniki
Po kasarniach u ułanów!...

W handlu win.

W jednym z renomowanych krakowskich handli win, natrafił nasz sprawozdawca na kolosalną awanturę. Starszy subjekt, zastępujący pryncypała, okładał po ogolonej łepecie praktykanta i wrzeszczał, jak opętany:

— A to ci choroba z takim chłopakiem! Olek, ja przez ciebie całkiem zdrowie stracę!

— Cóż takiego zaszło? — pyta ciekawie przybyły...

— Mieliśmy ekspedyować wino na kolej, kazałem więc temu małemu, aby na skrzynkach ponalepiał kartki z napisem: „ostrożnie!“ a on tymczasem poumieszczał je na flaszkach z zieleniakiem!... — odpowiada uczeń Merkurego z nabożnem oburzeniem.

W podróży poślubnej.

Mąż: A może chciałabyś moja droga poznać i nocne życie Paryża... Moglibyśmy odwiedzić jaką nocną kawiarnię!

Żona: Nie! Nie chcę!.. Tam usługa jest tak fatalna!



Różnę są upodobania
I objawy różnę gustu,
Ta zasada się odnosi
Także — do ściskania biustu.

Pokojówka, co ma siły,
Ściąga pani swej sznurówkę,
Kamerdyner również mężnie
Ściska w talii pokojówkę.

Pani jęczy w operacyi,
Jakby był jej koniec bliski,
Pokojówka zaś przyjmuje
Bez protestu tę uściski.

A wieczorem dla odmiany
Nieraz do białego rana
Lokaj ściska panią domu,
Pokojówka — ściska pana...